JANCZAR

Czyli Ofiara woyny domowey, w 1826 roku, powieść przez Tadeusza *Bułharyna.*

Szeroka od pożaru łóna złociła czarne chmury, przesuwające się nad Carogrodem, a odbijając blask swóy w nurtach Bosforu dawała w wodzie pozór ogniem płynącey lawy. Gwałtowny płomień z łoskotem pożerał domy spokoynych mieszkańców, i buchając z dachów na dachy, groził hardey stolicy Wschodu zniszczeniem w perzynę. Kłęby gęstego dymu, to się rozściełały po ziemi, to ogromnemi słupami wznosiły pod obłoki. Wiatr gwałtownemi porywy rozdzierał dymu i chmur bure zasłony, obnażał xiężyc, który, jak krwawe piętno, świecił na niebie, na postrach przesądnym muzułmanom. Stękała ziemia od gromu zgubliwych dział, drżało powietrze od jęku nieszczęśliwych ofiar, od wrzasku wściekłego żołdactwa i ludu, biegących z zajadłością na wzajemne siebie morderstwo. Wzdrygał się umysł, serce truchlało od szczęku oręża, świstu kul i kartaczy. Mimo cały ten rozruch i wrzawę przebijały zabóycze głosy: Smierć Janczarom! Zgon buntownikom! Przeklęstwo złoczyńcom!

Hassan, Janczar wyborowey orty, wojak osiwiały w bitwach, raniony od kuli na Etmaydanie, gdzie się wespół z bracią Janczarami potykał przeciw nienawistnym sobie Seymenóm, Hassan, będąc świadkiem zniszczenia całey swojey orty, ratował się ucieczką w bezludną ulicę, wlekąc za sobą młodą córkę swoję Zulemę, która,

jak gołębica ze spokoynego gniazda ogniem spłoszona, pomykała się drżąca za oycem. Córko moja, rzekł Hassan, krew uchodzi ze mnie, siły mię opuszczają, co się z tobą nieszczęsną sierotą stanie! — „Co się Bogu podoba, odpowiedziała z westchnieniem Zulema, zerwała z oblicza swego zasłonę (pierwszy raz za murami Haremu) i obwiązała ranioną rękę oyca.

„Oto jest dóm Mołły, starego przyjaciela mego, rzekł Janczar, ten gorliwy obrońcą wiary nie odmówi zapewne pomocy wiernemu wyznawcy Mahometa, a swemu przyjacielowi. To mówiąc, zapukał do drzwi. „Kto tam?" odezwał się ktoś groźnym głosem ze środka. Hassan poznawszy głos Mołły rzekł: „Nieszczęśliwy proszący przytułku."— „Dom móy zawsze jest przytułkiem nieszczęśliwych, odpowiedział Mołła, ale w tych niebezpiecznych czasach drzwi moje otwieram tylko znajomym. Kto jesteś?"— „Przyjaciel twóy Hassan."— „Nie chcę wiedzieć jak się nazywasz! odpowiedz tylko Janczar czy Muzułmanin?"— „Jedno i drugie."— „To fałsz: Janczarowie są wyklęci fetfą Muftego i mocą Kalifa prawowiernych, ogłoszono ich za wrogów oyczyzny i skazano na śmierć. Wyrzecz się swego powołania a w moim domu znaydziesz schronienie, inaczey padniesz trupem na tym samym progu, gdzie stoisz."— „Niech padnę, a nie zaprę się janczarstwa, które tak długo było zaszczytem Islamu. Ty sam bądź przeklętym, podły przeniewierco" rzekł Hassan i odszedł. Swisnęła kula nad głową Zulemy i przebiła zawoy janczarski na głowie jey oyca. „Boże ulituy się nad nami! krzyknęła przestraszona Zulema.

W tém na poboczney ulicy rozległy się wystrzały i jęki. Hassan przyczajony za węgłem domu widział jak gmin zagorzały pędził w wielkiey ciżbie za garstką niedobitych Janczarów, jak ich dosiągł, pokonał i nasycał swe okrucieństwo szarpaniem tych nieszczęśliwych. Mordercy siekąc żywych w kawałki, krwawo się dobiiali między sobą o członki odcięte, jak o bogatą zdobycz; a urągaiąc bezsilności i niedoli zwyciężonych, radośnemi okrzykami zagłuszali jęki boleści i rozpaczy. Tkliwa Zulema odwróciła oczy od tego szkaradnego widoku. Tym czasem rozhukane pospólstwo, nie przestając na męczeństwie bezbronnych żołnierzy, podpaliło w blizkości znaydujący się dóm bogatego kupca, pod pozorem, że on był przyjacielem Janczarów, a w istocie dla rabunku. Wnet płomień oświecił ciemną ulicę, kędy się Hassan z córką ukrywał: musieli uchodzić. Rzuciwszy ostatni raz wzrokiem na to okropne widowisko, Zulema gwałtownie przerażona: „Oycze móy, zawołała drżącym głosem: czy widzisz tę głowę zatkniętą na pikę? jak ona straszliwie błyszczy przed ogniem: usta otwarte, oczy odkryte i osłupiałe, krew na bladém licu.... o Boże! nie onże to?— „Tak, to on, rzekł Hassan z głębokiém westchnieniem, Alli twóy narzeczony. Przeznaczenie chciało, żeby on śmierć poślubił nie ciebie. Zulema padła na ziemię bez czucia.

Hassan uwinął córkę w czerwony płaszcz swóy janczarski, dźwignął jędną ręką na plecy to drogie brzemie i uchodził z pośpiechem. „Smierć Janczarom! Zgon buntownikom!” zakrzyczano nie daleko za nim, i on rzucił się w

przeciwną stronę, nie dla siebie, lecz dla ocalenia swojey nieszczęśliwey sieroty.

Fórtka była otwarta do ogrodu Mahmuda bogatego kupca, któremu Hassan w dawnieyszych rozruchach krajowych ocalił był życie i majątek. „Tu nieochybnie, pomyślał Janczar, znaydę schronienie, wszakże religija i ludzkość uczą obowiązków wdzięczności. Wszedł do ogrodu, złożył córkę swoję pod krzakiem róży, zaczerpnął wody w blizkiey fontannie i przywrócił ją do zmysłów. Zulema otworzyła oczy dla łez, usta dla jęków. Płacz, córko moja, rzekł Hassan, już dla ciebie nie weydzie słońce radości, już i dla oyca twego zgasło na wieki z imieniem Janczarów. Hassan odział się płaszczem swoim, zostawił córkę na mieyscu i poszedł pod okno, gdzie było światło.

Mahmud z dwoma synami swymi uzbrajał się, nabijał rusznice i pistolety. Hassan zapukał w okno. Mahmud otworzył, i uyrzawszy Janczara, odskoczył ze strachu. „Ratuy mię z córką moją, schroń w domu swoim, odday dobrém za dobre, a znaydziesz nagrodę u Boga. — „Nieszczęsny! wieszże ty czego żądasz ode mnie, odpowiedział drżący Mahmud. Chceszże mnie i całą moję rodzinę zgubić na wieki. Zemsta Proroka, padła na wszystkich Janczarów i oddała ich kaźni. Sandżak-szeryf jest wywieszony na ich zgubę; on powołuje wszystkich prawowiernych przeciw wam do broni. Kto tylko wierny Bogu i Islamowi, powinien pod hasłem tey świętey chorągwi was wytępiać. Smierć każdego czeka, ktoby ukrył Janczara. Wszelako ja pamiętam twoję przysługę Hassanie. Weź to złoto, zrzuć z siebie czerwony płaszcz, niegdyś chluby, dziś znamie obydy,

wdziey tę odzież żydowską, która się przypadkiem tu u mnie znayduje, i ratuy się ucieczką. — „Mahmudzie! rzekł z gniewem Hassan, mało we mnie człowieka, a mniey jeszcze znasz Janczara. Ja mam się okrywać hańbą i uciekać w sromotney żyda odzieży, wolę tysiąc razy umrzeć, aniżeli się raz spodlić tém plugastwem. Powstaliśmy na obronę Islamu, i zginiem, jeśli tego trzeba, wierni naszemu przyrzeczeniu. Niech płaszcz janczarski trupa mego okryje, a ja go nie zdeymę ani z bojaźni, ani z pochlebstwa. O gdyby tylko nie córka i nie rana moja!... Złota twego, Mahmudzie, mi nie potrzeba, choway je dla niewiernych, dla których wkrótce go może na wasz okup potrzebować będziecie. Giną Janczary, ale i was od zguby zasłonić nie potrafią, ani nowe wasze Seymeny, ani wiarołomne Topczy. Byway zdrów!

Póydźmy córko moja, rzekł Hassan podnosząc Zulemę osłabioną z przerażenia i smutku, poydźmy na brzeg morza. Może się nam poszczęści dostać na drugą stronę. Tam żyją Franki, oni się obawiali Janczarów, ale się nie boją ani Sandżak-Szeryfa Mahometowego, ani Fetfy naszych Muftych. Oni są przyjaciołami ludzkości, dadzą ci pomoc i uratują mdły kwiat przed niszczącą burzą. Nie ma już żadney dla nas u Muzułmanów nadziei; wiara ich utonęła w przelaney krwi Janczarskiey, ludzkość stłumiona fanatyczną klątwą. To rzekłszy, słabiejący od rany i sam potrzebny podpierającey ręki, Hassan szedł utrzymując córkę swoję, któréy nogi w przechodzie między stosami trupów, slizgały się po krwi zapiekłey. Jeszcze niektóre z tych nieszczęsnych ofiar, dawały znaki życia poruszeniem i głuchemi jęki, a te się głę-

boko odbijały w duszy Zulemy. Hassan z sercem na wszelkie zewnętrzne wrażenia okamieniałém, obojętnie potrącał nogami poszarpane ciała swych braci, będąc tylko jedyną zajęty myślą, o utracie sławnego imienia Janczarów. Ta myśl stygnącą jego duszę jeszcze zapalała.

Nakoniec Hassan przyszedł na brzeg, i przy blasku płomienia, postrzegł jakby przez ciemną zasłonę, migające wśród mgły i dymu łodzie. Jedna z nich przybliżała się do brzegu i zdało się mu, że postrzegł wniey dwóch Janczarów. Hassan wdziera się na skałę i córkę swoję tam wciąga. Wpatrują się oboje chciwym wzrokiem w zamglone morze.... „To Janczary! córko moja, tu nasz ratunek.” W tém oddział Topczych z ognistemi pochodniami śpieszy hurmem do brzegu. Postrzegli oni zdaleka Janczarski ubior Hassana.— „Czerwony płaszcz! Smierć Janczaróm, krzyczą biegąc ku niemu.” Już się przybliżają, a łodź jeszcze daleko od brzegu. Kilkanaście karabinów już wymierzonych w Hassana i jego córkę.— „Kto ty jesteś Janczar czy Muzułmanin? zapytuje naczelnik oddziału — i Hassan poznaje głos oyca zmarłey żony swojey, a matki Zulemy.— „Jestem ten, który się nigdy nie zaprę ani nazwiska, ani powołania mego, odpowie piorunującym głosem: Jestem Hassan Janczar,oyciec wnuczki twey, wiarołomny Mustafo!— „Nieszczęsny! cóżeś ty wyrzekł, zawoła z żalem Mustafa. Janczarowie są wyklęci; bądź Muzułmanem, uczyń nanowo wyznanie Islamu i proś o przebaczenie!— inaczey.... „Nigdy! krzyknął w naywiększey zapalczywości Hassan; żyłem i umrę Janczarem, wiernym Muzułmanem, obrońcą Alkoranu.” — „Smierć

buntownikom! w jedno słowo tłum zakrzyczał, runęły wystrzały, i nieszczęśliwa Zulema padła ze skały kulą w serce przeszyta. Mustafa cisnął na ziemię broń swoję i zakrył oczy przed tym okropnym widokiem. Topczy wywarli oręże na Hassana: lecz on spóyrzawszy ostatni raz na martwą córkę, podniosł ręce ku niebu, rzucił się w fale morskie i zniknął w głębi. Czerwony płaszcz spłynął na wierzch i uniosł się na odkryte morze.

POEZYA.

Pożegnanie N. Królowey Hiszpańskiey, z małżonkiem swym na odjeździe do Katalonii. (z francuzkiego).

Bije odjazdu godzina....
Ferandzie przyym uscisk żony!
Dla ludu, dla twey korony,
Wielka ofiara się wszczyna:
Twa ręka, Hiszpaniją zbawi,
Od niezgód, wściekłego boju,
Wszak Przedwieczny błogosławi
Monarchom, dawcom pokoju.

Chociaż łzy w mém oku błyszczą;
Bo żona czuła trwożliwa,
Na próżno boleść ukrywa,
Niechay się wyroki ziszczą!
Małżonku! niech ogień dzielny,
Stwórca roznieci w twém łonie,
Niechay wieniec nieśmiertelny,
Ozdobi zwycięzcy skronie.

Lecz czemże łez moich zdroje,
Na okup krwi twych poddanych,
Gdy srogą klęską znękanych,
Chce wybawić ramie twoje?
Odważny nie cofniesz kroku,
Niech cię duch boski zagrzeje,
Przy twoich znamion widoku,
Rokowa pochodnia stleje.

Gdy się pod berło skojarzy
Garstka w wierze obłąkana,
Niech uzna silną dłoń Pana,
Wolną choć wolnością darzy.
Niech oliwa, znamie błogie,
Królewskie czoło przystroi,
Sama się oddam w załogę
Miłosci kraju i twojey.

Przed Krzyżem modły gorące
Do Oyca szlę, co na niebie,
By na Hiszpanją, na Ciebie,
Zwrócił oko czuwające.
Bóg ziści moje nadzieje,
Pozna narod buntowniczy,
Że gdzie prawo nie istnieje,
Tam nié ma szczęścia słodyczy.

Tron spokoyny i szczęśliwy,
Fernandzie, wkrótce osiędziesz,
Ludem swoim władać będziesz,
Jak Oyciec, Pan sprawiedliwy.
Niech się nam dzisiay odrodzi,
Hésperji pora szczęśliwa,

Niech Wieczny, co nam przewodzi,
Do zgonu nas nie rozrywa.

Do Jana Bogusza, był. Prezesa Sądów Gł. Podolsk. Oda Raymunda Korsaka, w 1817 r.

Ty, co chowasz na przygody
Myśl jednaką, wyższe zdanie,
Zawsze wesoły i młody,
Powiedz mi, kochany Janie:
W rozlicznych wypadkach świata
Wieki żyliśmy, czy lata?
Przeznaczeń żałośnych siła,
Wydając z piekieł łożyska,
Krwawe na ziemię igrzyska,
Włos nam przed czasem zbieliła.

Wprawdzieć się niebo nie chmurzy,
Gromu się dotąd nie słyszy;
Lecz, boday nie doznać burzy,
Która nadchodzi po ciszy!
Choćby mniey srogie bałwany,
Cóż, gdy statek skołatany!
Lękam się zdarzeń powodzi:
Jeszcze przyszłości noc czarna,
I dawną zgrozą ciężarna,
Nowe nam klęski wyrodzi.

Smutna przeszłości pamięci!
O! łez godnieysze spomnienie!
Gdy ludzie wściekłością zdjęci,
Powstali na swe zniszczenie.

Bunt, zdrady, boje, pożogi,
Wytępia kraje mord srogi,
Nié masz ołtarza, ni tronu!
Milczą prawa, huczy działo,
Lądu szaleńcom nie stało,
A dumie miecza i plonu!

Po cóż powierzać śmierć woynie?
Alboż ta, kiedy spóźniona?
Nadeydzie sama spokoynie,
I sprawy własney dokona,
Naśpieszą chwile ją chyże,
I groźnych narzędzi śpiże,
W skromne naczynia przeleje:
A rybak, okrętu złomkiem,
Pod burzyciela potomkiem,
Spokoyną chatę ogrzeje.

Ale, niech troska przeminie,
Muzo! milsze śpieway, proszę;
Możeż być smutek w Balinie,
Gdzie powaby, gdzie roskosze?
Tu żart skromny, słodkie wrzawy,
Szczerość prawa bez obawy
Wiodą biesiadę przyjemną;
Poczesny bożek uciechy,
Mnoży radość, mnoży śmiechy,
A lutnia i przyjaźń ze mną.

Co za nadobna posada!
Wzgórki, zdroje, stroyne jary;
Lucyna, wznosząc się blada,
Słońca przygasza pożary.

Żegnaymy, Boguszu drogi,
Dzionek spędzony bez trwogi;
Zefirek listka nie ruszy,
Kwiat wonie podnosi hoynie,
A niebo, czyste, spokoyne,
Podobne do twojey duszy.

Gdy nam Bóg dozwala wczasu;
Starym oyców obyczajem,
Bez zawiści, bez hałasu,
Zaprawmy rosę tokajem,
Niechno twóy chłopiec ochoczy,
Do chłodnéy piwnicy skoczy,
I wina wyniesie flaszę:
Żonie, siostrze i Ludwice
Poświęcimy trzy sklenice,
A czwarta będzie za nasze.
Zwabiony słodkim potokiem,
Morfeusz przybył z kolei,
I maków persyyskich sokiem,
Znużone powieki klei.
Gasną gwiazdy, wstają zorze,
Długo bawimy na dworze,
Dobrze się spocząć spodziewam:
A luba córa pamięci,
Gdy przybędzie po méy chęci,
Jutro wam znowu zaśpiewam.

Pegaz w jarzmie. (*Wolny przekład z Szyllera*).

Ukazał się wśród jarmarku,
Na Pegaza dzielnym karku

Oblubieniec cór Parnassu;
Chcąc korzystać dobrze z czasu
Poeta sławny (skąd rodem
Tutay wymieniać nie będę)
Przyprowadził zmuszon głodem
Pegaza na facyendę.
Głód do wszystkiego podnietą,
Jak stare niesie przysłowie;
Tak się też działo z poetą:
Bo choć miał porządnie w głowie:
Duchem wieszczym był natchnięty,
Rym mu płynął jak ze źródła,
Lecz bieda z nagiemi pięty
Wieszcza do tego przywiodła,
Że się rozstać musiał razem
I z swą lutnią i z Pegazem:
Bo mieć nie chciał zbytnich sprzętów,
Więc bez dalszych argumentów,
Gdy się rozumu poradził,
Konia na targ wyprowadził.
Zarźał skrzydlak, dumnie skoczył,
Gmin ciekawy go otoczył,
Postawa jego wspaniała
Wszystkich zadziwiała.
Podoba się kibić zgrabna,
Ucho, nóżka, szerść jedwabna;
Każdy wdzięki te wychwala,
Lecz na skrzydła się użala,
Że są wcale niepotrzebne:
Bo któż zechce z tym rumakiem
Napowietrznym latać szlakiem
I zwiedzać strony podniebne ?

Lecz Macieja to nie zraża
On na kupno się odważa,
Bo Maciey w koncepta płodny
Skrzydła myśli mu skrępować;
A że poeta był głodny,
Nie chciał się długo targować;
Choć zapłata ladajaka,
Pozbył się swego rumaka.

Ale u nowego pana
Zaszła wielka losu zmiana:
Ten którego lekkie skrzydła
Nieścignione w swym polocie
Dziś twarde gryzie wędzidła
I pracuje w krwawym pocie.
Dotknięty boleścią srogą,
Uporczywie kopnie nogą,
Coraz więcey sił dobywa
I podły rzemień rozrywa.
Cóż na to Maciey powiada?
„ Znaydzie się na wszystko rada;
Jeśli to ci nie dosmaku,
Skrócę ja ci skrzydła ptaku!
Uymę cię w rzemienie tęgie
I do wozu cię zaprzęgę ”
Wymysł to wprawdzie rozumny,
I nie dość na słowach próżnych,
Już musi Hypogryf dumny
Ciągnąć pełny wóz podróżnych;
Lecz popęd wyższey natury
Kieruje kroki do góry:

Biegu wstrzymać nic nie zdoła,
Rwą się leyce, trzeszczą koła,
I podróżni w straszney chwili
Ledwo karków nie skręcili,
I Maciey sam z tey rozprawy
Wyszedł kulawy.
Wtedy, widząc że nie żarty,
Że Pegaz zawsze uparty,
Jednak probuje raz trzeci,
Myśląc: «kiedy ptaka z wołem
Do pługu zaprzęgnę społem,
Pewnie w górę nie podleci;
A gdy trzy dni jeść nie będzie
Straci bystrość w swoim pędzie.»—
Wnet mądry zamiar spełn ony:
Już trzy dni hypogryf pości,
I wkrótce jakże zmieniony!
Słaby, suchy, wynędzniały,
W szkapę, co skóra i kości,
Zmienił się rumak wspaniały —
Teraz daley orać pole:
Ten co się równał z obłoki,
W jarzmie dziś przy gnuśnym wole
Błądzi poziomemi kroki.
Chce się unieść, braknie siły
(Bo go bardzo osłabiły
Posty i liczne kije).
Gdy doymuje los zbyt twardy,
Znieść nie mogąc straszney wzgardy,
Pada i w prochu się wije —
«Do kata» Maciey zawoła,
«Djabeł przeprzeć cię nie zdoła»

A wśród łajania i krzyku
Gdy cięgi lecą bez liku,
Przechodzi jakiś młodzieniec
Skroń mu zdobi kraśny wieniec,
Słodko przygrywa na lirze,
Pyta: «Co za dziwna para?...
Rumak z wołem!.. «Boska kara»
Rzekł Maciey, «przeklęte źwierze!»
—Nic tu nie pomogą kije,
Pozwól niech ja go zażyję!
Skoro wsiadł, wnet rumak czuje,
Jaka ręka nim kieruje,
Błyszczą pełne ognia oczy,
Coraz bystrzey, żywiey, kroczy,
A unosząc przewodnika
W krainach błękitu znika.

E... de M....